

SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 5, LISTOPAD 2018



Akademicki Zespół Szkół
Ogólnokształcących
ul. Dąbrowskiego 36
Chorzów

Drodzy Czytelnicy,

jesteśmy niezwykle szczęśliwi, że to już piąta edycja czasopisma!

To wszystko zawdzięczamy Wam, bo to przecież Wasze prace tworzą je od początku do samego końca. W tym numerze znajdziecie wiele prac uczniów, które - mamy nadzieję - umilą ten jesienny, momentami przygnębiający czas i może nawet zainspirują.

A co polecamy szczególnie? Zaczniemy od poezji, którą reprezentuje wiersz „Babie lato” przypominający piękne, polskie słoneczne dni. Jeżeli chcielibyście dowiedzieć się czegoś więcej o codziennym życiu w Meksyku, ciekawych przygodach w kraju corridy, tajemnicach nowojorskiej biblioteki czy poznać uroki bieszczadzkich połonin, wystarczy, że sięgniecie po nasze czasopismo i zagłębicie się w lekturę.

Warto zapoznać się z recenzjami książki i filmu, może ich autorzy podpowiedzą Wam, co warto przeczytać i zobaczyć. Oprócz tego pojawią się także przekłady ciekawych artykułów z języka hiszpańskiego. A ponadto pojawi się pytanie: Czy „pusta kartka” niesie ze sobą jakieś treści? Być może wypełnia ją nasze życie... Jesteście ciekawi? Zajrzyjcie do tego numeru! W końcu jest on wypełniony słowami... By odwołać się do klasyka literatury: „(...) cóż tak czytasz mości książę?! – Słowa, słowa, słowa...” (William Shakespeare "Hamlet").

Redakcja

Projekt okładki: Aleksandra Bedlicka

Zespół redakcyjny:

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Kacper Łukowicz

Dziennikarka: Anna Kern

Dziennikarka: Agata Maćkowska

Dziennikarz: Tomasz Pyrcik

Dziennikarz: Radosław Mosór

Spis treści

Poezja

Tomasz Pyrcik

Babie lato

Proza

Kacper Łukowicz

Niezatytułowany album o licealnej głupocie, część II: Born To Be Wild

Edyta Fragsztajn

Bieszczadzkie refleksje

Martyna Zimek

Dalej nie potrafię uwierzyć w to, co zaraz przeczytacie...

Marta Banaś

Pusta Kartka

Espantajo

Hiszpania bez ogona

Maria Smorczewska

Książkowe melancholie

Varia

Javier Blázquez

Gdy Sherlock Holmes odwiedził Barcelonę

tłumaczenie: Karolina Kisiel

Maria Filipiak

New York, New York...Library!

Arturo Pérez-Reverte

Mój ulubiony producent

tłumaczenie: Kacper Łukowicz

Recenzja

Agata Maćkowska

Norweski serial..., „SKAM”

Błażej Król

José Ortega y Gasset „Bunt mas”

POEZJA

Babie Lato

Tomasz Pyrcik

Leżąc na płonącym wzgórzu wystawiłem dłoń
Nagle eteryczne nici wplątały się doń
Tworząc kształty kruche przejrzyste i tak zwiewne
Jakbym chwycił na uwięzi wdowią królową

Choć granicę otchłani przekraczał świat cały
Te pajęczce wzniosłości do mnie przemawiały
I nie mogłem oderwać ni wzroku ni słuchu
A może to twój jad trzymał mnie w bezruchu

I ze spętanymi skrzydłami sam leżałem
Może to dobrze, że do słońca nie wzleciałem
Niedługo już płomienie dadzą mi spoczynek
Czasu też mi brakło na czynienie wspominek

A wisząca Mara, choć głównie urojona
Odwróciła wnet swój wzrok nie patrząc jak konam
Jęknąłem głośno nie dostrzegając jak Ona
Choć raz lecz ostatni wzięła mnie w ramiona

PROZA

Born To Be Wild

Kacper Łukowicz

Wszystkie opisane wydarzenia miały miejsce na Śląsku w 2017. Na prośbę osób zaangażowanych nazwiska zmieniono. Reszta została opowiedziana zgodnie z prawdą.

17 X 2017

Następnego dnia miał miejsce pogrzeb Norberta. Ceremonia zaczęła się zwyczajnie, jednak po chwili zacząłem czuć się dziwnie nieswojo. Nie sądziłem, że ludzie są zdolni do mówienia takich rzeczy o zmarłych rówieśnikach.

- Nie mógł sobie wybrać innego momentu? Tracimy dwie godziny rozszerzonej matmy.

To okropne, ale taka jest młodzież. Okropna. Wyszczekana. Chamska. Egoistyczna. Musiałem dowiedzieć się, kto go zamordował.

Na samym pogrzebie zaobserwowałem kilka ciekawych i osobliwych rzeczy.

- 1) W pierwszym rzędzie ubrani na czarno siedzieli rodzice Norberta. Niby nic dziwnego, ale siedzieli na dwóch końcach ławki, rozdzieleni przez tłum ludzi. Może to przez nich?
- 2) Justyna stała zapłakana. Poczesała ją jakaś brunetka. Poczucie winy? A może naprawdę go kochała? W takim razie dlaczego nie wiedziała, że jest z nim źle?
- 3) Teresa nie zjawiała się na pogrzebie. Rodzice jej nie puścili?
- 4) Tad płakał. Pierwszy raz go takiego widziałem. Tęsknota? Może jednak miał coś wspólnego ze śmiercią?
- 5) Marek całą ceremonię stał przed kościołem. Palił papierosy i rozmawiał z kimś przez telefon. Był podenerwowany. Wina? Może coś grubszego?
- 6) Na sam koniec, kiedy wszyscy zgromadzili się nad trumną, jakiś pierwszoklasista w okularach powiedział dosyć głośno: I po co się starać, żeby być sławnym, skoro wystarczy się powiesić i już cała szkoła wie, kim jesteś? W tym momencie Tad podbiegł do niego i uderzył go pięścią w twarz. Coś głośno chrupnęło. Tad zaczął okładać młodego do krwi. Grzegorz zaczął go nagrywać, ale całą sytuację szybko przerwał Marek. Oderwał Tada od chłopaka, przyłożył mu w brzuch i kazał iść do domu. Żaden nauczyciel nie zauważył tej akcji. Marek kazał młodemu o niczym nie mówić. Ten tylko przytaknął i uciekł. Tad nie mógł tego zrobić.

Po pogrzebie złapałem na moment Justynę. Musiała mi wyjaśnić kilka rzeczy.

Przesłuchanie Justyny Gilczyk 17 X 2017

J.G.: Czego ty znowu chcesz? Daj mi spokój idioto!

Ja: Nie chcę Cię już więcej nachodzić. Proszę cię tylko, zastanów się, czy na pewno nic na to nie wskazywało...

J.G.: (Milczy)

Ja: Naprawdę. Dam ci spokój. Może nawet pomożesz złapać tego, kto to zrobił. Dobrze wiem, że też w to nie wierzysz!

J.G.: Ja ci nic nie powiem...

Ja: Dlaczego?

J.G.: My... My nie byliśmy razem.

Ja: (Chwila przerwy) Jak to? Jak to nie byliście razem?

J.G.: Nie byliśmy. Po prostu.

Ja: To po co ta cała szopka?

J.G.: Ehhhh... Żeby było jasne, to jest nasza ostatnia rozmowa na ten temat. Jak tylko coś o tym piśniesz, to cię zabiję.

Ja: Powiedz. Proszę.

J.G.: Nikt ma się nie dowiedzieć, a zwłaszcza moi rodzice.

Ja: Oczywiście.

J.G.: Powiedzmy, że oboje byliśmy samotni, ale nie chcieliśmy czegoś większego.

Ja: Co to niby znaczy?

J.G.: Nieważne. On chciał się odegrać po prostu na Teresie.

Ja: Więc się zgodziłaś?

J.G.: Nie dla wszystkich jestem taką suką.

To bardzo wiele zmienia. Przez tę rozmowę skreślam Justynę z listy podejrzanych. Chociaż nie wierzę do końca w tę bezinteresowną pomoc, to część historii może być prawdą. Niestety to sprawia, że utknąłem. Co dalej? Nie mam od czego się odbić.

18 X 2017

Już następnego dnia miało miejsce szalone wydarzenie, które otworło mi zupełnie nowe drogi poszukiwań mordercy. Co więcej naprowadziło mnie na jego tożsamość.

W środku ostatniej lekcji rozległo się uporczywe walenie do drzwi. Dyrektor Wirczyński.

- Czy jest tu Marek Gutka?

Padł na niego wzrok całej klasy. Marek zbladł.

- Jestem...

- Chodź, proszę, ze mną. Policja już czeka.

W klasie szepty. Mamy przewalone. Podejrzenia. Zabił Norberta? Jęki. Za co mieliby go zgarniać?

Szkoła płonęła. Korytarze zawałyły się uczniami pędzącymi do szafek w celu pozbycia się kontrabandy. Papierosów, piersiówek i narkotyków.

Kiedy wychodziłem ze szkoły słyszałem kilka wersji tego, co się wydarzyło. Pewne było to, że policja wreszcie wszczęła śledztwo. Być może Marek był podejrzany o zabójstwo Norberta. Albo jednak nauczyciel przyłapał go z fajką na terenie szkoły. Prawda była inna. Marek Gutka został zatrzymany za posiadanie Detokainy. Dopalacza, który był ostatnio bardzo popularny wśród szkolnej młodzieży.

Śledztwo wreszcie zaczęło się rozkręcać. Niestety pewnie nie będę miał teraz czasu na rozmowę z Markiem. Na szczęście przeanalizowałem notatki i mogę powiedzieć, że mam kilka otwartych tropów. Czemu Teresy nie było na pogrzebie? Czemu Grzegorz nagrywał pogrzebową bójkę? Na razie doszedłem do wniosku, że nasze pokolenie może zrobić naprawdę wielkie rzeczy, lecz tylko gdy nauczymy się pokory. Niestety nie do tego zostaliśmy stworzeni. Urodziliśmy się, żeby być nieopanowanymi. Niepokornymi. Samodzielnymi. Dzikimi.

Koniec części II

Bieszczadzkie refleksje

Edyta Fragsztajn

Wakacje to zdecydowanie czas wyjazdów. Wiele osób odkrywa nowe miejsca, zdobywa unikalne doświadczenia, uczy się umiejętności niezwiązanych ze szkołą. Są pośród nich tacy, którzy twierdzą, że jest to możliwe jedynie na drugim końcu świata, że dopiero tam człowiek poznaje życie od innej strony. Jednakże, tegoroczne przeżycia pozwalają mi z całym przekonaniem zaprzeczyć tezie, jakoby w Polsce nie było dostatecznie wielu miejsc pełnych wrażeń i emocji...

Mój tygodniowy wyjazd w Bieszczady nie wiązał się z pierwszymi odwiedzinami w tym miejscu, aczkolwiek ten pobyt był jedyny w swoim rodzaju. Czterokrotnie odwiedziłam już te piękne góry z rodzicami, wybierając dość krótkie trasy przy dobrej pogodzie. Tym razem ruszyłam z ciężkim plecakiem w całodniową wędrówkę, z noclegami codziennie w innym miejscu. Jakby to nie było wystarczającym wyzwaniem, podczas drogi trzeba było zmagać się z nieustannym deszczem, wiatrem i zimnem. Mimo tego, a może właśnie dlatego, bardzo miło wspominam towarzystwo wspaniałych ludzi, gościnność miejscowych i pyszne jedzenie. Dzięki tym niezliczonym niedogodnościom doszłam także do wniosków, którymi chciałabym się z wami podzielić.

Po pierwsze, góry są chyba najlepszym nauczycielem pokory. Przemarznięty, głodny i przemoczony człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z faktu, że tak naprawdę jest niczym wobec sił natury, że nie jest w stanie jej ujarzmić. Ale potem dochodzi do konkluzji, że to tak naprawdę piękne, że takie życie – w harmonii z nią – jest możliwe do osiągnięcia.

Po drugie, góry uczą doceniać zwykłe, codzienne rzeczy. Nic nie smakuje tak wspaniale jak kanapka po kilku godzinach drogi, nic nie orzeźwia tak jak łyk wody, a najpiękniejszą chwilą doby jest, gdy po całym dniu wreszcie można zdjąć plecak i usiąść. Zupełnie inne priorytety niż zazwyczaj, nieprawdaż?

Wreszcie, udało mi się odnaleźć sens gór, ten powód, dla którego od wczesnego dzieciństwa nieustannie pragnę w nich być. Otóż jedynie w otoczeniu połonin, lasów, trawy, kwiatów i skał mogę z całą szczerością rzec, że czuję się naprawdę wolna. Nie martwię się w takich momentach o obowiązki, o przyszłość, o moje niepowodzenia. Cieszę się chwilą, żyję nią, czuję jak przepelnia wszystkie moje zmysły. I tylko o takim czasie mówię, że nie jest w jakimkolwiek stopniu zmarnowany.

Mam nadzieję, że opisanie moich doświadczeń z tego pięknego miejsca skłoni także niejednego z Was do rozpoczęcia własnej przygody i odkrycia tego majestatycznego kawałka świata...

Dalej nie potrafię uwierzyć w to, co zaraz przeczytacie...

Martyna Zimek

Była to 2. klasa gimnazjum.

Przyszło niewinne ogłoszenie - „w dniu X o godzinie Y odbędzie się zebranie dla osób zainteresowanych roczną wymianą międzynarodową”, lecz mój uśmiech na twarzy utrzymał się tylko do zapytania: „...dla jakiego przedziału wiekowego jest to skierowane?”. W tamtym momencie żałowałam, że jestem dzieckiem XXI wieku.

Jednak powrót do powyższej myśli nastąpił już rok później.

Była to 3. klasa gimnazjum.

Dzwonek, koniec lekcji, wszyscy zdążyli już zabrać swoje rzeczy, aby wyjść na przerwę, a że ja nie mogłabym startować w zawodach pakowania swoich rzeczy na czas, miałam to szczęście usłyszeć ostatnią dygresję pani profesor Mucharskiej. Okazało się, że chciała nam przekazać zasady stypendium w ramach rocznej wymiany młodzieżowej do Stanów Zjednoczonych Ameryki pod egidą organizacji FLEX.

Nie byłabym sobą, gdybym nie spróbowała. Napisałam eseje wymagane w języku angielskim, ale koniec końców okazało się, że nie były one na tyle przekonujące, by przejść do następnego etapu. Moje myśli o wyjeździe każdego dnia stawały się coraz silniejsze, a że nie należę do osób, które szybko się poddają, obiecałam sobie, że spróbuje jeszcze raz za rok!

1. klasa liceum.

Z tyłu głowy cały czas przyświecała mi myśl, iż w roku poprzednim, nie poszło mi wystarczająco dobrze... dlatego po długiej rozmowie z rodzicami ustaliliśmy, że powalczymy i spróbujemy zadziałać „na dwa fronty”.

Znaleźliśmy organizację Rotary, która zajmuje się wymianą młodzieży nie tylko do USA, ale praktycznie do każdego zakątka naszego globu, z tą różnicą w stosunku do FLEX`a, iż w tym przypadku wymiana młodzieży jest obustronna. Tzn. ja wyjeżdżam do wybranego kraju świata, a do Polski przyjeżdża ktoś z zagranicy. Równolegle napisałam oczywiście swoje nowe eseje na FLEX`a i czekałam z wypiekami na twarzy drugi rok z rzędu na wyniki. Ku mojemu zdziwieniu dostałam się do następnego etapu walki o stypendium, co nie było proste, bo kolejny stopień osiągnęło tylko 9% aplikujących. W ramach dalszej walki o moją przyszłość z FLEX`em zostałam zaproszona do Krakowa na rozmowę kwalifikacyjną, test znajomości języka angielskiego oraz zadanie grupowe. To 9% aplikujących przełożyło się na około 120 osób rywalizujących o około 40 miejsc. Był to kolejny etap walki o marzenia, niestety, nie udało się, a i nigdy żaden z uczestniczących w procesie nie dowiedział się, jakie przyjęto kryteria i co decydowało o sukcesie. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, gdyż dzięki strategii „drugiego frontu” jestem tu gdzie jestem - ¡Viva México! Chociaż to zadanie też nie było takie łatwe, jak by się mogło wydawać, gdyż od września uczestniczyć musiałam w cotygodniowych spotkaniach Klubu Rotary Katowice, wypełniać niezliczoną ilość formularzy i dokumentów, oraz musiałam wraz z rodzicem uczestniczyć w kilkudniowym obozie przygotowawczym, który zorganizowało Rotary Polska w Bydgoszczy. No i jest jeszcze coś, za co z całego serca podziwiam moich rodziców, bo gdy ja mam okazję realizować się i spełniać w Meksyku, moi rodzice musieli podjąć się wyzwania w drugą stronę, czyli zaopiekować i ugościć przez rok szkolny osobę/osoby, które w ramach tej samej wymiany przyjechały do Polski. Takie były początki sięgania po marzenia.

Obecnie mam cudowną nową, meksykańską rodzinę, totalnie inną szkołę, międzynarodowych znajomych, szalenie interesującą kulturę i coś, czym chyba najbardziej kusił mnie Meksyk, czyli wszechobecny język hiszpański.

Oczywiście, nic tutaj nie jest takie samo, jak w naszym kraju. To trochę tak, jakbym dopiero się urodziła i musiała zacząć swoje życie od nowa. Od komunikacji z otoczeniem począwszy, poprzez aklimatyzację w nowej rodzinie, aż po zdobywanie nowych przyjaźni. A najlepsze w tym wszystkim jest to, iż tak naprawdę nie masz na to zbyt dużo czasu. Bardzo spodobał mi się cytat „exchange is not a year in a life, it is a life in a year”. Zawsze kiedy to czytam, czuję motylki w brzuchu i mam niezmierną radość, że sama buduję moje nowe dorosłe życie, na drugim końcu świata, tak jak sobie to wymarzyłam, czyli wedle własnego scenariusza, na mój własny autorski film.

Wiadomo, początki były trudne. Pierwsze dni szkoły, w których wszyscy myśleli, że rozumiem jak mówią do mnie slangiem młodzieżowym, albo kiedy spróbowałam pierwsze chili i myślałam, że zaraz będę zionąc ogniem.

Chociaż ten okres nazywany jest przez ogół osób uczestniczących w wymianie najtrudniejszym, dla mnie był inspirującym i magicznie niesamowitym. Tyle nowych rzeczy działo się każdego dnia, że nie umiałam ich policzyć. Czas leciał tak szybko, że nawet się nie spostrzegłam, a byłam w Meksyku już miesiąc. Do teraz nie pamiętam wszystkich próbowanych potraw albo pełnych cztero-wyrazowych imion moich kolegów z klasy. Tak na prawdę, nie chcę się przyzwyczajać, gdyż to poznawanie i smakowanie nowej kultury bardzo mi się spodobało i każdego dnia chcę więcej i mocniej. Ujęło mnie też meksykańskie powiedzenie „mam czas” zaciągnięte z głębokiej historii i kultury tego kraju, generalnie „mañana” rządzi. Mimo wielu przeżyć, moim zdaniem wszystko, co najlepsze, jeszcze przede mną. W aspekcie jedzenia zabawne jest, kiedy ludzie dookoła zadają mi pytanie, czy jadłam już narodową potrawę Taco, gdyż z satysfakcją odpowiadam, iż chciałabym wcześniej tego nie doświadczyć i móc ponownie zrobić zdjęcie z hasztagiem „pierwsze taco” i cieszyć się jak „głupia do sera”. Kocham, kiedy poznaję osoby zadające pytania typu: „czy mamy w Polsce McDonald'a” lub „czy nie umieram tutaj z ciepła, bo przecież u nas w Polsce to cały rok pada śnieg”. Najbardziej śmiałam się, gdy jeden chłopak był przekonany, że Polska leży w Azji i oczywiście po krótkim wprowadzeniu, dłuższym wykładzie i sporej dawce humoru, wyprowadziłam człowieka z błędu.

Każdego dnia budzę się z pustą kartką i razem z jednym z najbardziej życzliwych narodów świata staram się ją zapełnić nowymi doświadczeniami. Żaden dzień nie wygląda tak samo, a co ciekawsze, również nie smakuje tak samo. Regionalnymi potrawami, absolutnie ich nie powtarzając, można by zapełnić każdy dzień mojej wymiany.

Kończąc, mam nadzieje i bardzo się staram, aby tak było, że oba kraje będą miały z mojego wyjazdu sporo nowej wiedzy i dużo radości oraz wspomnień na lata. Dlaczego? Ano dlatego, iż w zamian za gościnę i możliwość nauki języka, zostawiam tutaj część siebie, część polskiej, może nawet europejskiej kultury i staram się być najlepszym ambasadorem mojej ojczyzny i mojej rodziny na amerykańskim lądzie.

Nie mam zamiaru odliczać dni do końca wymiany, bo chcę, żeby ten cały przysłowiowy „Meksyk” trwał jak najdłużej.

Mam nadzieję, iż moimi słowami przelanymi na papier zachęcę czytających, że nie wystarczy tylko chcieć i mówić, że fajnie byłoby to czy tamto, ale trzeba działać, trzeba wierzyć w siebie i w podjęte decyzje oraz nie poddawać się, bo o marzenia zawsze należy walczyć do końca, bez jeńców i z całego serca!

Pusta kartka

Marta Banaś

Nie ma pustych kartek.

Nie ma pustych kartek nic nie znaczących. Każda pusta kartka może być początkiem przełomowej historii. Ktoś z papieru zrobi model samolotu, który potem zostanie wykorzystany przez przyszłych lotników. Ktoś inny na pustej kartce napisze powieść, która komuś innemu zmieni życie. Jeszcze inny nałoży na siebie dwie puste kartki, czarną na białą, i stworzy przełomowe dzieło sztuki. Tyle opowieści, ile pustych kartek. Nieprzewidywalność i determinizm, swoiste połączenie tworzące efekt motyla.

Pusta kartka, na której za chwilę pojawi się zapis mojego życia tu i teraz.

Zastanawiam się, kim jestem? Czy to ja kształtuję moje życie, czy ludzie którzy mnie otaczają? Czy Immanuel Kant miał rację mówiąc, że rodzimy się jak te „puste kartki”?

Nie da się zatrzymać czasu, ani go cofnąć. Nie mogę powiedzieć, co robię teraz, bo to „teraz” zmienia się co sekundę. Każde 60 sekund tworzy minutę, a każde 60 minut tworzy godzinę.

Śmierć bliskiej osoby jest ciosem wymierzonym w każdego członka rodziny – ból może być jednak zróżnicowany, zależny od miłości jaką darzyłam drugą osobę. Mogę zacząć nowy rozdział, nie spoglądać w przeszłość, zapomnieć o niej, przecież takie rady zawsze są najlepsze, prawda? Lecz czy wymazywanie przeszłości, „wygumkowanie” zapisanej kartki, jest tą jedyną słuszną opcją? Według mnie nie. Spisanie własnej historii dla przyszłych pokoleń może być kluczowym momentem mojego życia, a zarazem przyszłego życia.

Życie sceniczne, możliwość wcielenia się w inną postać to swoisty palimpsest. Okazja do ucieczki od samej siebie, poszukiwania kogoś innego, oderwanie od momentami bolesnej codzienności. Teatr leczy rany, wybacza, daje drugą szansę. Niezależnie od tego, ile razy odgrywam tę samą scenę, ona zawsze będzie inaczej o d c z y t y w a n a przez widza.

Bolesław Prus w dziele swojego życia napisanym przecież na pustej kartce *Lalce*, dzieli się ze mną trafnym spostrzeżeniem: „Świat podobny jest do amatorskiego teatru; więc nieprzyzwoicie jest pchać się w nim do ról pierwszych, a odrzucać podrzędne. Wreszcie, każda rola jest dobra, o ile grać ją z artyzmem i nie brać zbyt poważnie”. Każdą rolę, jaką przyjdzie mi grać w teatrze świata (*theatrum mundi*) powinnam traktować jako tę najważniejszą, przecież nie ma ról mniej ważnych, w każdej mogę zmieniać świat i siebie na lepsze. Prawdziwe i autentyczne moje życie to już nie pusta kartka.

Hiszpania bez ogona

Espantajo

„Dojedźcie szczęśliwie i wracajcie wypoczęci” – tak żegnają mnie znajomi na chwilę przed wyjazdem na kolejny obóz językowy *Słowaka* do Hiszpanii. O ile żeby zrealizować pierwszą część tego pożegnania, robimy – moi współpracownicy: opiekunowie, profesorowie, kierownicy – wszystko, aby obyło się bez nieszczęść, tak drugiego życzenia zawartego w pożegnaniu staram się nigdy nie słyszeć. Dopiero po powrocie, kiedy spotykam którąś z osób życzących mi wypoczynku w pracy i słyszę: „Jaki opalony i zadowolony”, dodaję z przekąsem: „No i wypoczęty!”. Jak wyglądają takie wyjazdy od strony organizacyjnej? Czy zdarzają się nieszczęścia? I czy ktokolwiek wraca wypoczęty?

Gdyby tak spojrzeć w boku i nie drażyć tematu: wyjazd z pracy do Hiszpanii (tutaj czytający winien wykazać rozeznanie i podjąć decyzję o wypowiedaniu ochów i łałów)! Słońce, plaża, knajpy, dobre żarcie, spokój... Zwięźle w trzech hiszpańskich słowach: *siesta*, *fiesta* i *mañana*. Trudno się z tym nie zgodzić. Też tak sądziłem o wyjazdach na obozy językowe *Słowaka* do Hiszpanii, kiedy uczestniczyłem w nich jako uczeń. Razem z panią profesor Grabowską pojechaliśmy na taką wycieczkę dwa razy: do Roses, później do Oropesa del Mar. Wyjazdy były genialne. Zobaczyliśmy bardzo dużo, mocno rozwinęliśmy umiejętności językowe – biorąc pod uwagę, że w Hiszpanii spędziliśmy po osiem dni. Kredyt zaufania, który dostaliśmy od opiekunów, też *zrobił robotę*. Trafiliśmy na głęboką wodę nie tylko językową, ale też życiową. W Oropesie jedyny raz w życiu miałem okazję obsługiwać półautomatyczną pralkę. Pomagali nam Hiszpanie, którzy mieszkali piętro niżej. Nasi hiszpańscy sąsiedzi próbowali nas też nauczyć, że podczas pełni księżyca w morzu można się kąpać tylko po nagu. Dla niektórych przedstawione w tej kwestii argumenty były dosyć przekonujące...

Z takimi ciekawymi doświadczeniami wybrałem się kilka lat później na obóz językowy do Roses już jako opiekun - młody, nieopierzony, czepliwy nauczyciel... Poznałem wtedy drugą stronę wyjazdów szkolnych i bardzo szybko przyjąłem do wiadomości i świadomości, że to nie taka prosta sprawa.

Pierwsze koty za płoty i dwa miesiące po powrocie z mojego pierwszego wyjazdu jako opiekun, zabrałem się za organizowanie następnego obozu językowego w Hiszpanii (Opiekun? Jak i po co opiekować się 18-latkami?! Przyjmijmy zatem słowo dyżurne dla dalszej części tekstu: nauczyciel).

Każdy kolejny wyjazd był inny. Nie tylko dlatego, że program wyjazdu się zmieniał – pojawiały się nowe miejsca, znikaly z planu te mniej atrakcyjne z punktu widzenia uczniów. Każdy wyjazd wiązał się z nowymi wyzwaniem i przygodami, na każdym działało się coś wyjątkowego, co wszyscy zapamiętywali.

Zawsze wspominam o tym, jak biegałem po francuskich autostradach w drugą noc wyjazdu (biegałem do września 2016 roku, kiedy Francuzi wprowadzili tzw. *goboxy*, czyli elektroniczne opłaty za autostrady). Po co biegałem? *Geniusze* koncepcji francuskich autostrad i bramek do poboru opłat zaprojektowali je dość specyficznie. Kierowca autokaru nie mógł dokonać opłaty, ponieważ miejsca do wrzucenia monet lub podania banknotów są bardzo nisko. Ja nie mogłem wyjść z autokaru w miejscu poboru opłat, bo bramki są wąskie i nie można otworzyć drzwi. Zatem przez kilkaset kilometrów autostrad we Francji czekałem na hasło: „Płacimy!”, kierowca zatrzymywał autokar kilkanaście metrów przed szlabanem, biegłem przed nim. Żeby uruchomić cały proces płacenia, kierowca musiał podjechać do kasy. Wtedy,

przeciskając się między autokarem i kasą, płaciłem. Kierowca odbierał paragon – ja nie mogłem osiągnąć, bo było zbyt wysoko. Szlaban się podnosił, autokar ruszał a ja biegłem za nim. Jeden raz pobiegłem PRZED, po zapłaceniu ponad 80 Euro... Szlaban opadł, a mnie ręce... Zadzwoiłem do obsługi punktu poboru opłat: pomoc w języku hiszpańskim. Odzywa się kobieta, po francusku... Pytam więc: „¿Hablas español?” a w odpowiedzi słyszę: „Oui!”. Ręce bardziej opaść nie mogły; nie było łatwo, ale śmiesznie na pewno. Kiedyś przed Strasburgiem musieliśmy zapłacić prawie 100 Euro, ale automat przyjmował tylko banknoty o nominale 5 Euro i monety, więc była *ściepa*.

Pewnego razu zatrzymała nas *Gendarmerie Nationale* i panowie zażądali paszportów. Udało się wyjaśnić, że ‘my z Schengen i nie potrzebujemy paszportów’, wystarczą dowody osobiste. Niestety nie wystarczyło tłumaczenie, że nie mówimy po francusku, bo jedziemy na obóz językowy do HISZPANII. Żandarm powtarzał z wyrzutem: „I don` t understand why you don` t speak French if you are in France????!!!”. Też zacząłem się nad tym zastanawiać...

We Francji często dzieje się coś ciekawego. W Strasburgu mogłem bliżej poznać personel tamtejszego szpitala. Na dzień dobry, kiedy chcieliśmy wyjaśnić powód naszej wizyty (spuchnięta, boląca noga po hiszpańskiej *fięście*), nikt nie mówił ani po hiszpańsku, ani po angielsku. Sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy ów personel informował nas o konieczności zapłacenia za wizytę i założenie opatrunku. Większość doznała jakiejś iluminacji lingwistycznej i przemówiła po angielsku. Tego samego dnia kierowcy nie potrafili wyjechać ze Strasburga – nawigacja ciągle powtarzała: „Skręć w lewo”. Jeździliśmy w kółko przez dłuższą chwilę. Na mapie Polski też znam takie miasta, z których trudno wyjechać. Natomiast z Nicei pamiętam muzeum Henri`ego Matisse`a, znanego malarza francuskiego. Wspięliśmy się na górę miasta, widzimy napis „Matisse”, więc wchodzimy. Jednak po kilku chwilach grupa chłopców opuściła galerię, po czym oświadczyli, że wolą ‘Daewoo Matiz`a’.

Jeden z wyjazdów zorganizowało pewne katowickie biuro podróży. Wtedy na bramkach też było śmiesznie i to nie tylko we Francji. Przewodniczka nie posłuchała, kiedy mówiłem, że musi przejść za autokarem. Przeszła PRZED. Bramka się zamknęła, ale pani przewodnik nie zamierzała dzwonić do obsługi. Postanowiła złamać szlaban, co też uczyniła.

Mieliśmy wtedy „genialnych” kierowców. Zawsze celowali w bramki oznaczone czerwonym krzyżykiem: „Zamknięte”. Chłopcy nagrali charakterystyczny *titek*, który włączał się przy uruchomieniu biegu wstecznego. Kiedy podczas ostatniego wyjazdu do Barcelony panowie kierowcy trafili do bramki z zielonym światłem, cały autobus bił im brawo.

Na tym wyjeździe była jeszcze jedna ciekawa przygoda: pierwszy raz widziałem kogoś tak poparzonego przez słońce. Tak to bywa, gdy ktoś przesypia *siestę* na plaży, ale zapomina posmarować się kremem z filtrem.

Przygód było sporo...

Na innym obozie językowym po powrocie do Roses z Barcelony, kilka minut po północy, przychodzi do mnie grupa dżentelmenów. Mówią: „Panie profesoro, mamy gówniany problem”. Dosłownie – mieli taki problem... Kilka dni wcześniej podpadli Marokańczykom chwilowo przebywającym w Roses. Dokładniej rzecz ujmując: stanęli w obronie swojej blond – koleżanki, za co spotkała ich niemała i niemiła niespodzianka. Zastali taras pełen ekskrementów. Trzy dni później, po powrocie z wycieczki, po godzinie 1.00 w nocy panowie przyszli poinformować o ‘mokrym problemie’. Domyślcie się zapewne, co nim było. To nie jedyne przykłady niesympatycznych zachowań lokalsów...

Pewnego razu przedstawiciele grupy niemieckiej klasy trzeciej liceum, którzy pojechali z nami do Roses, zostali napadnięci przez ‘młodociany gang’. Oddali swoje plecaki. Przeróżające tym bardziej, że agresorzy poruszali się na hulajnogach i mierzyli 150 cm lub mniej. Kiedy usłyszał

to policjant spisujący zeznania, próbował opanować śmiech. Różnie mu szło... Kilka lat później, kiedy zgłaszaliśmy zagubienie dokumentów jednej z uczestniczek wyjazdu, pan policjant od razu mnie rozpoznał: „To ty – od gangu na hulajnogach”. Dobrze jest mieć znajomości...

Policję poznałem dość dobrze... Kiedyś po jednego z naszych kierowców, który musiał wrócić do Polski, przyjechał autokar. Podjeżdżając dość wąskimi uliczkami do dzielnicy, w której mieszkaliśmy, rozwalił nowiutki samochód. Godzina 0.30, komisariat *Policía Local*. Policjant pyta, skąd jest autokar. „Czechowice – Dziejzice”- odpowiadam. „Co?” – zdziwiony wykrzywia twarz i prosi o powtórzenie, w końcu o przeliterowanie. „Co to za język?” – dziwi się i prosi o podanie imienia i nazwiska kierowcy. Po usłyszeniu imienia „Grzegorz”, podał mi formularz i poprosił o wypełnienie...

Przygód z policją było więcej, tak jak ze służbą zdrowia. Po pewnym czasie wspomina się je z uśmiechem, ale wtedy było różnie. Jak to jest, że przypominamy sobie głównie te dobre, miłe przeżycia a z tych ‘mniej ciekawych’ zaczynamy się śmiać?

Notatki do tego tekstu zapisuję w Tossa de Mar. Siedzę na skałach pod zamkiem, gdzie podczas jednego z wyjazdów nasze uczennice dały świetny słowacki koncert. Miejsce, w którym niektórzy niezainteresowani historią Tossy zostali za karę przemienieni w ślimaka (iście surrealistyczne zjawiska – ciekawskich odsyłam do filmu o surrealistycznym świecie Jasia, Wiktora i Bartosza na YT), a gimnazjaliści skarżyli się, że ‘film na projekt z hiszpańskiego idzie im jak po grudzie’. Część zapisuję w barze Tapa a Tapa, gdzie niektórzy uczestnicy obozu językowego należący do frankofonów, byli stresowani przez *jefe*: „Tutaj jest Hiszpania. Tutaj mówi się po hiszpańsku, nie po francusku czy angielsku. Otwórz menu na angielskim, potem na hiszpańskim i dopiero zamawiaj”. Tak na marginesie: podają tam genialny *arroz negro* w ilości nie do przejedzenia!

Z kuchnią hiszpańską trzeba jednak obchodzić się ostrożnie... W barze na skrzyżowaniu alei Gaudiego i ulicy Cartagena, dokładnie naprzeciwko szpitala Sant Pau w Barcelonie, podsłuchałem, jak nasza uczennica zamawiała menu del día. Chciała zamówić pieczonego kurczaka, czyli *el pollo asado*. Kurczak jest rodzaju męskiego (tak w polskim, jak w hiszpańskim), o czym zapomniała. Kiedy kelner usłyszał zamówienie „una polla asada, por favor”, najpierw się mocno zdziwił, po czym niemal popłakał – patrząc z perspektywy czasu zastanawiam się, czy ze śmiechu, czy ze zmartwienia (*polla* to wulgarne określenie na organ, który posiadają mężczyźni, sztuk: jedna).

Na pomysł napisania tych słów wpadłem przechodząc po raz *enty* obok biblioteki, gdzie wydrukowaliśmy bilet na samolot z BCN do KTW dla ucznia, który musiał wrócić wcześniej do Polski. Zawzął się, mówi: „Panie profesorze, mogę sam spróbować?”. No ba! Adam, wiedziałem, że dasz radę!

Część przypomniała mi się w barze Filomena przy *un bocata de jamón* i *un cortado*, a przecież jestem na urlopie, środek wakacji, wypoczywam... Z dobrymi wspomnieniami, które prowokują opowieści, wypoczywa się świetnie.

„Barcelona, la ciudad de las oportunidades”. „Kuba, ¿te gusta la música? Sí, me gusta”. „¿Dónde está la biblioteca? Vamos a la playa”. „Estamos en el pico de agua”. „Zawsze trzeba mieć krawat i koszulę”, bo przecież ‘reprezentowanie szkoły to nie tylko obowiązek, to przede wszystkim przyjemność’, „Skąd wiesz, że to kotka, a nie kot? Bo żre jak dama”...

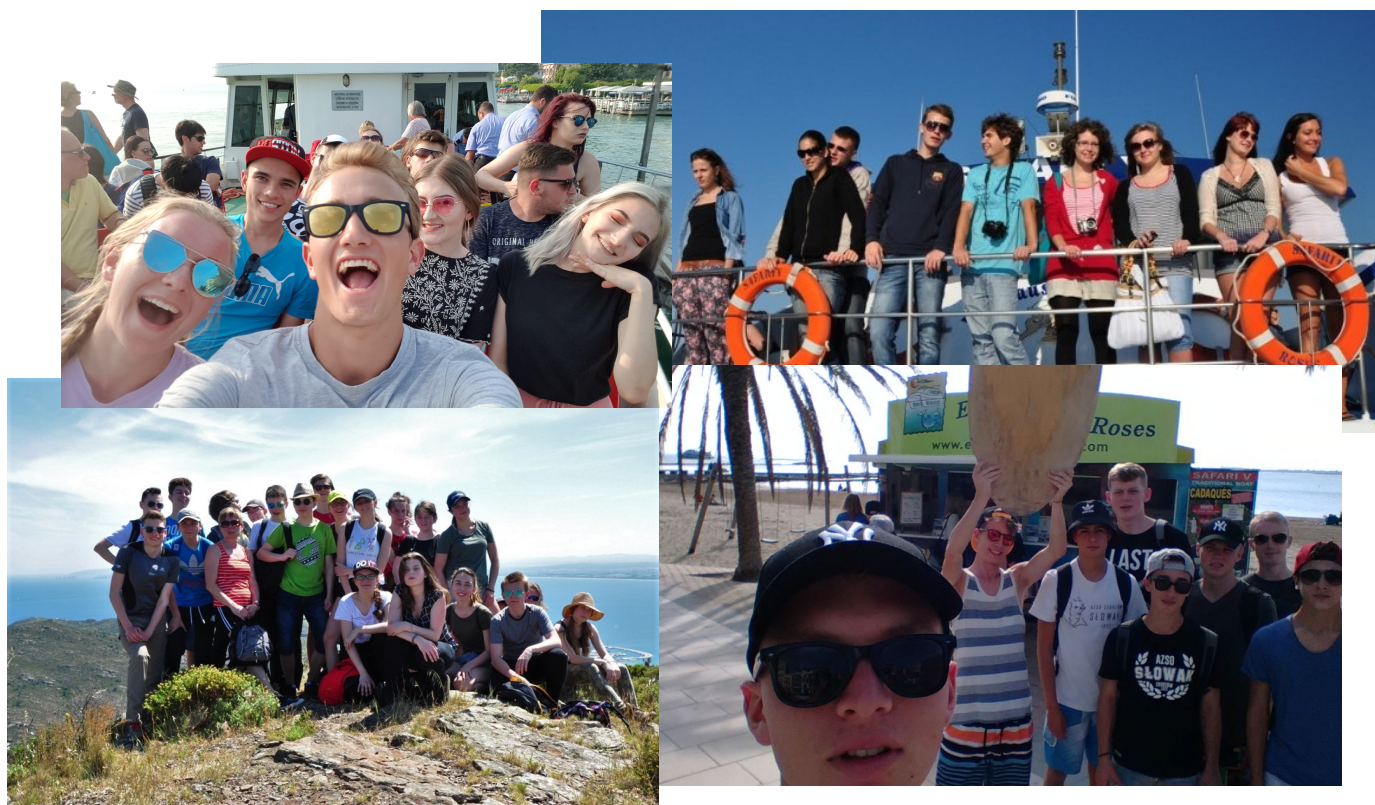
Po jednym z takich obozów grupa przyjaciół nazwała się nawet „Pokojem z Hiszpanii”. Na kolejnych wyjazdach, np. na Rysiankę, też tak się przedstawiali. Pewnego pięknego dnia, na chwilę po maratonie maturalnym, dostałem kartkę pocztową od tego właśnie *pokoju* z pozdrowieniami ze Szkocji. Nie była to pierwsza ani ostatnia z kartek od tych dżentelmenów. Każda była pisana wierszem. Treść tej konkretnej zawiera swego rodzaju żal i ubolewanie:

„Choć kolegi (RODO: żadnych imion) z nami tutaj nie ma, Pokój z Hiszpanii wciąż razem się trzyma. Whisky już wypita, kolejna na stole, Tylko biedny pan profesor na maturach, w szkole”. Różne miejsca w Roses, Barcelonie, Tossa de Mar, Cadaqués, Port Lligat kojarzą mi się z autorami powyższych fraz i zawsze są to miłe wspomnienia. Nawet, gdy w Más Oliva przypominam sobie „We are learning Spanisz”.

Wypoczywam... Mimo że po obozach językowych Słowaka w Hiszpanii nikt nie jest wypoczęty – w 24-godzinnej drodze powrotnej wszyscy śpią jak zabici – to odwiedzając te same miejsca bez młodzieży, z sentymentem wracam do tych wszystkich przygód. Czterdziesto, pięćdziesięcio, sześćdziesięcio czy siedemdziesięcioosobowy *ogon* nie jest taki straszny. Bez młodzieży nawet czasami brakuje tego „Volare, o,o, cantare, o,o,o,o” o trzeciej nad ranem...

Jednak o przeobrażeniu notatek w jednolity tekst zdecydowałem w zupełnie innym miejscu...

W nocy z soboty na niedzielę wracamy z BCN do Chorzowa. Szybkie przepakowanie i przed 9.00 jesteśmy w Złatnej Hucie. Czarny szlak prowadzi na Rysiankę, skąd 15 minut do schroniska na Lipowskiej. Tam spotykam Agnieszkę (matura 2012), która była na dwóch obozach językowych w Roses. Zaczęło się wspomnianie: a to Cadaqués i spóźnienie na statek, a to Barcelona, Sant Pere Pescador i gumowate chipirones i... Agata, którą już pożegnaliśmy; wspomnienia po części tego, co już zanotowałem, po części wielu innych przygód, które może kiedyś ktoś opisać. Cieszą takie wspomnienia, cieszą pocztówki z podziękowaniami „za wspólne wyjazdy”, maile, sms-y, mms-y, uczniowie i absolwenci, którzy przejeżdżając samochodem obok, zatrzymują się na ulicy i pytają o samopoczucie, i jak mijają wakacje. Cieszą i inne wiadomości od *słowakowiczów* zwiedzających różne zakamarki świata. Nieważne skąd wysyłane, bo przecież życie jest piękne nie dzięki miejscom, w których jesteśmy, ale dzięki ludziom, którzy nas otaczają. Dlaczego o tym nie napisać?



Książkowe melancholie

Maria Smorczewska

Każdy z nas w życiu przeczytał chociaż jedną książkę. Tak klasycznie. Kupił, wypożyczył, otworzył i od deski do deski przeczytał. Może był to reportaż, kryminał, romans, a może, jedna z kilkunastu stronowych lektur z pierwszych klas szkoły podstawowej?

W każdym razie jakąś książkę przeczytaliśmy, a jeżeli nie, jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jak takie czytanie wygląda. W XXI wieku może i coraz więcej ludzi zamiast książek wybiera bardziej zelektronizowane formy rozrywki, jednak klasyczna literatura, ma naprawdę sporą rzeszę fanów. Co więcej, czytanie książek jest nie tylko mile widziane, ale także całkiem popularne. Może dlatego, że nie wszyscy się na nie decydują, czytając, mamy szansę poczuć się wyjątkowi, oryginalni i mądrzejsi. To właśnie nad tą „mądrością” chciałabym się chwilę zastanowić.

Faktem jest, że czytając istotnie nasza wiedza się poszerza. Każda przeczytana książka, niezależnie od długości, gatunku czy stylistyki, zostawia w nas jakiś ślad. Nawet jeżeli po przeczytaniu nie zagościła w naszej pamięci dłużej niż kilka dni, to nie można zaprzeczyć temu, że w czasie czytania stymulowała nasz mózg. Bardzo możliwe, że poszerzyła nasz zasób słownictwa, poprawiła umiejętność czytania albo chociaż, (chociaż!) ukazała poprawną pisownię ortograficzną jakiegoś wyrazu.

A więc niewątpliwie, książki nas rozwijają. I właśnie tutaj pojawia się pytanie? Które z tych książek, na tyle nas rozwinęły, abyśmy „marnując” na nie cenne godziny swojego życia, odczuli prawdziwą satysfakcję? Które z dumą moglibyśmy pokazywać jako znane nam pozycje literackie? Które książki, to tak naprawdę dobre książki?

Ostatnio w świecie literatury, można zauważyć pewien popularny stereotyp. Mądra osoba czyta mądrą książkę, głupia – głupią.

Pozycje traktujące o trudnych relacjach, nieznanach, historycznych wydarzeniach, albo nawiązujące do bardzo skomplikowanych i zawiłych wydarzeń, są uważane za książki godne uwagi. Natomiast stereotypowe romanse lub idealistyczne książki przygodowe, bardzo szybko dostają łatkę „niepoważnych” czy „dziecinnych”. A więc to, jakie książki czytamy od razu definiuje to jacy jesteśmy, a dokładniej jak ma się nasza inteligencja. No cóż, w rzeczywistości prawda może wyglądać nieco inaczej.

Może jest to związane z wchodzeniem w pewien wiek, a może to kwestia nowych trendów literackich, ale w pewnym momencie po przeczytaniu książki zakupionej w dziale „literatura romantyczna dla młodzieży” nie czujemy tej samej satysfakcji co po przeczytaniu np. Mrocznego kryminału. No bo co tu powiedzieć o takiej książce? Może i nam się podobała, ale przecież to takie „głupiutkie opowiadanko”, że lepiej się w ogóle nie przyznawać, że poświęciliśmy kilka wieczorów na dobrnięcie do ostatniej strony. Zapewne nie każdy się tak czuł, ale myślę, że jest grono osób, którym taka sytuacja nie jest obca. Nie chcemy dołączyć do grupy „mniej inteligentnych”, dlatego zachowujemy te doświadczenia dla siebie. Jednak czy to naprawdę uwłacza naszej inteligencji? Czy głupiejemy czytając takie książki? Tutaj prawda też przedstawia się trochę inaczej.

Weźmy na przykład taką sytuację: czytamy książkę o trudnej tematyce. Uznana pozycja, z kilkoma nagrodami na koncie. Jesteśmy nią oczarowani. Kończymy ją w tydzień, a potem rozmyślamy nad nią jeszcze dwa . Czekamy na wieści o ekranizacji, pytamy z niedowierzaniem: Czy to naprawdę tak było? Dowiadujemy się coraz więcej, a może nawet zmieniamy pogląd na

pewne sprawy, po czym sięgamy po kolejną absorbującą książkę. I kolejną. Po czwartej z kolei coś zaczyna być nie tak. Kolejne wstrząsające fakty, już nie są takie wstrząsające. Rozważania nad fabułą zmieniają się bardziej w pytania pt. Dlaczego on zginął? To nie mogło się tak skończyć? I tu właśnie pojawia się, wielu osobom znany stan „książkowego wyczerpania”. Można to porównać do nadmiaru nauki. Po dziesiątym równaniu wszystko traci sens, a trzeci raz sprawdzany wynik dalej się nie zgadza. Często wtedy stwierdzamy, że czas zrobić sobie przerwę i np. Oglądamy odcinek serialu czy po prostu wkraczamy w świat mediów społecznościowych.

Podobnie jest z książkami. Czasami po prostu wszystkiego jest za dużo. Za dużo treści, niezrozumiałych zwrotów akcji. Chcielibyśmy dalej czytać, ale nie dajemy rady. Wtedy z pomocą mogą przyjść nam właśnie te „głupie książki”. Nagle, przewidywalna fabuła przestaje nam przeszkadzać, bo skupiamy się na akcji. Stereotypowi bohaterowie wdają się w stereotypowe związki, których rozwój możemy śledzić w spokoju, wiedząc, że i tak zapewne na końcu skończą jako szczęśliwa para.

Też odczuwamy emocje, jednak nie musimy aż tak koncentrować się na treści i zapamiętywać wiele różnych rzeczy. Przecież tu także przekazywane są różne wartości, może w bardziej prosty i okrojony sposób, jednak miłość czy nienawiść zapewne też są obecne. Myślę, że literatura jest naprawdę magiczną krainą, w której każdy może znaleźć coś dla siebie. Niektórzy mają swój ulubiony typ książek, któremu są wierni, ale jednak ogrom ludzi sięga po zróżnicowane gatunkowo pozycje. Może więc warto zaakceptować gusta innych, ale przede wszystkim swoje własne. Nie szerzyć książkowego rasizmu i nie oceniać książki po okładce a człowieka po książce. Nie zapominajmy: Wszyscy czytelnicy to jedna rodzina, a łączy nas nie to co czytamy, tylko to, że czytamy.

VARIA

Gdy Sherlock Holmes odwiedził Barcelonę

Javier Blázquez

Tłumaczenie: Karolina Kisiel

Powieść "Sekrety z San Gervasio" pióra Carlosa Pujola, jest zjawiskiem niespotykanym wśród wcześniejszych tekstów z Sherlockiem Holmesem jako głównym bohaterem. Detektyw i jego wierny towarzysz, John Watson, po raz pierwszy w życiu odwiedzają Barcelonę i zauważają, że tutaj rzeczy nie działają zgodnie z jakąkolwiek logiką. Rezultatem jest humorystyczna frustracja.

Jednym z najciekawszych podgatunków powieści kryminalnych, jest ten, który łączy wszystkie teksty, w których pojawia się Sherlock Holmes. Chodzi o dzieła nie napisane przez Conana Doyle'a opowiadające, jak sławny detektyw stawia czoło różnym sytuacjom stworzonym przez autorów o różnych temperamentach. Na przykład holmesowskie apokryfy - w tym wiele tych, które zostały opublikowane po kastylijsku w zbiorze "Archiwa z Baker Street" przez wydawnictwo "Valdemar" - pozwalają czytelnikom poznać, co by mogło się wydarzyć, gdyby Sherlock Holmes spotkał na swojej drodze Oscara Wilde'a, Zygmunta Freuda, Karola Marksa; w powieści "Przypadek pierścienia filozofów" Randalla Collinsa detektyw pojawia się przed magiem Aleisterem Crowleyem i logikiem Ludwigiem Wittgensteinem. W apokryfach poznajemy różnych bohaterów drugoplanowych, jak na przykład Mary Watson, Profesor Moriarty czy Panna Hudson, którzy odgrywają rolę śledczych lub sprzymierzeńców Holmes'a i korzystają z tego, że Conan Doyle porzucił twory swojej wyobraźni, które z biegiem lat zostały zapomniane przez świat. Istnieją również opowieści, w których Holmes bada sprawy w Brazylii, Tybecie i Japonii, co stwarza praktycznie niewyczerpane możliwości.

Jednym z najbardziej nowatorskich nurtów, jeśli chodzi o holmesowskie apokryfy, jest połączenie detektywistycznego świata wiktoriańskiego Londynu z horrorem kosmicznym H.P. Lovecrafta - zapoczątkowanym ponad dekadę temu przez Neila Gaimana w komiksie "Nauka w szmaragdzie", nie wspominając o opowieściach, w których Holmes prowadzi dochodzenie w sprawie morderstw popełnionych przez Kubę Rozpruwacza. Myśląc o tym całym mnóstwie przygód detektywa możemy zadać sobie pytanie: "Czy Sherlock Holmes był kiedykolwiek w Hiszpanii?" Według kanonu Doyle'a: nie, jednakże w momencie gdy Holmes wymknął się swojemu twórcy i przemienił się w postać kreowaną przez dziesiątki autorów, taka możliwość otworzyła się natychmiast. W 2012 José Luis Garci skorzystał z okazji, aby nakręcić film, który okazał się fiaskiem, ale powiązany był z detektywem, bowiem został zatytułowany "Holmes i Watson, Madryckie dni". Reżyser sprzedawał go jako film, w którym Holmes po raz pierwszy wziął udział w corridzie.

Jednakże były i wcześniejsze interpretacje. "Sekrety z San Gervasio", powieść opublikowana przez Carlosa Pujola w 1994, w której autor wykorzystał holmesowskie apokryfy. Detektyw uzależniony od morfiny, ze swoim kaszkietem i fajką, wybiera się na spacer po Barcelonie pod koniec XIX wieku, kiedy w budowie wciąż były jeszcze: pomnik Kolumba, kaskady Cytadeli i końcowe odcinki Ensanche (czyli Eixample). W lokalnej geografii tamtych czasów, San Gervasio stanowiło osobną gminę i było czymś na kształt londyńskiego Bedlam*, więc musiał pojawić się i szpital psychiatryczny. Jak Sherlock Holmes znalazł się w Barcelonie i czego szukał? Pewnego upalnego lata w Londynie detektyw przyjął dwie młode mieszkanki Barcelony, które poprosiły go o pomoc. Natychmiast odkrył, że rzekome zaginięcie ojca, możnowładcy zajmującego się przemysłem włókienniczym, jest kłamstwem. Mimo to zgodził się

na podróż do Barcelony. Jego dochodzenie zaprowadziło go do San Gervasio, gdzie poznał kilka barwnych postaci i prowadził dochodzenie w sprawie zaginięcia w niejasnych okolicznościach.

W miarę czytania szybko zdajemy sobie sprawę, że nawet bystry Holmes nie jest w stanie pojąć "Sekretów z San Gervasio". To powieść o wielkim detektywie, w miejscu przepelnionym kostumbryzmem*, który nie kieruje się chęcią rozwiązania zagadki, lecz rutyną. Sherlock Holmes zainteresuje się lokalnymi obyczajami, na przykład chlebem z pomidorami (pa amb tomàquet), które zaburzą jego schematy myślowe. Na daremno chce zrozumieć, co siedzi w głowach jego gospodarzy. Finalnie powieść Carlosa Pujola okazuje się być bardziej egzystencjalna, niż tajemnicza i dużo bardziej humorystyczna... Sekret istnieje, zbrodnia jest realna, ale wierny postmodernistycznemu podejściu zaczyna od pastiszu, a później rozwija powieść w kierunku studium psychologicznego. Holmes po raz pierwszy nie jest w stanie pojąć całej prawdy, co doprowadza go do frustracji. Stwierdza, że przecież też jest człowiekiem, a barcelońska natura okazuje się być nie do pojęcia dla kogoś, kto kieruje się porządkiem i logiką. Tak oto detektyw odwiedziwszy Barcelonę, mimo że nie udało mu się rozwiązać tajemnicy, odkrył inną prawdę: w rzeczywistości nie ma nikogo, kto by nas zrozumiał. Ani w XIX wieku, ani w 1994, ani dzisiaj.

Tekst JAVIERA BLANQUEZA opublikowano 26 lipca 2018 na www.elmundo.es

*Bedlam - działająca przez ponad 600 lat placówka dla umysłowo obłąkanych funkcjonowała pod wieloma nazwami: St Mary Bethlehem, Bethlem Hospital, Bethlehem Hospital. Miejsce to jest jednak najbardziej znane z nieoficjalnej nazwy Bedlam, która w wolnym tłumaczeniu oznacza chaos, harmider.

*kostumbryzm - prąd w hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej literaturze romantycznej, koncentrujący się na przedstawianiu kolorytu lokalnego regionów i środowisk.

New York, New York...Library!

Maria Filipiak

Słuchając Franka Sinatry wykonującego słynny utwór, momentalnie widzimy imponujący Empire State Building, Chrysler Building... Otacza nas niezwykła atmosfera Wall Street, czy Fifth Avenue. Oczywiście nie zabraknie nieodzownej Statue of Liberty, a po trudach dnia odetchniemy w Central Park. Muzycy zamarzą o Carnegie Hall, czy Metropolitan Opera, a uwadze miłośników sztuk pięknych na pewno nie ujdzie Met, a także MoMA.

Niestety wszystkie te wizje, chociaż niezwykle pociągające, pomijają prawdziwy skarb NYC - The New York Public Library. Osobiście odnalazłam w niej swój raj.

Historia biblioteki rozpoczęła się w XIX w. Ówczesnie w Nowym Jorku funkcjonowało niewiele bibliotek. Co więcej w większości nie były one ogólnodostępne. W takiej sytuacji pojawienie się ogromnego gmachu głównego biblioteki (przez pewien czas największej marmurowej budowli w USA) o niewyobrażalnie bogatych zbiorach, był prawdziwą rewolucją. Obecnie, mimo, że upłynęło tak wiele lat, Biblioteka wciąż budzi podziw i zachwyt. Sam piękny klasycystyczny gmach wart jest dokładnego obejrzenia, nie mówiąc już o wnętrzach!

Próba opisanie budowli - Stephen A. Schwarzman Building (najsłynniejszego budynku biblioteki) od wewnątrz, jest z góry skazana na porażkę. Można ująć, że "to trzeba zobaczyć". Wbrew temu zaryzykuję dosyć "ogólny" opis (detale można by omawiać w nieskończoność).

Niezaprzeczalnie najbardziej imponującym pomieszczeniem jest słynny Rose Main Reading Room. Co do samych wymiarów, to pewne wyobrażenie może dawać sama wysokość sali - 16m, nie mówiąc o długości praktycznie 100m oraz szerokości 24m. Nieskończone rzędy wypełnione po brzegi woluminami, magiczna atmosfera wypełniona szelestem kartek. W ramach odpoczynku, możemy na chwilę odchylić głowę i wpatrzeć się w niezwykle sklepienie (patrzenie w sufit bywa interesujące). Co ciekawe, czytelnia jest doskonale wyciszona. Zdaje się, że żyje w innym rytmie niż NYC, którego jest przecież nieodzowną częścią.

Co do samej struktury obecnej biblioteki, to jest ona dosyć nietypowa. Cała NYPL podzielona jest na wiele "pod - bibliotek". Istnieją działy naukowo - badawcze, działy wypożyczające itd. Poza tym zbiory związane z naukami ścisłymi znajdują się w innym miejscu niż reszta. Oznacza to, że aby zobaczyć całą bibliotekę nie wystarczy jeden dzień. Co więcej, może nie wystarczy tydzień, jeżeli chcemy się bardziej zagłębić w atmosferę miejsca. Jednakże z osobistego punktu widzenia mogę stwierdzić, że jedynym faktycznym zmartwieniem jest niemożliwość opuszczenia biblioteki, gdy już raz do niej "naprawdę" wejdziemy. Lecz czy to właściwie jest zmartwienie...

Na koniec parę praktycznych informacji: zdobycie karty bibliotecznej (NYPL Library Card) jest niezwykle proste. Można zrobić to na miejscu w ok. 10 - 15 minut. Należy mieć przy sobie dokument tożsamości, np. dowód lub paszport. Plan biblioteki, praktycznie wszystkie informacje tj. godziny otwarcia, dostępność poszukiwanych pozycji można znaleźć na www.nypl.com. Niezależnie od tego czy posiadamy kartę, możemy wejść do czytelnii, wybrać książkę i spędzić dowolną ilość czasu w jednym z najpiękniejszych miejsc NYC.

So...see you there!

Mój ulubiony producent

Arturo Pérez-Reverte

tłumaczenie: Kacper Łukowicz

Dwa tygodnie temu mówiłem o niewdzięczności i braku pamięci w Hiszpanii. Nawiązując do tego, przypomniałem sobie o jednym gościu, z którym jadłem kolacje w każdy piątek od dwudziestu ośmiu lat. Nazywa się Antonio Cardenal i w tym momencie trudno jest mi zdecydować czy powinienem go nazywać przyjacielem, czy bratem. Z czternastu filmów i seriali, które powstały na podstawie moich historii, on wyprodukował siedem. Nie jest to jednak powód naszej przyjaźni. Przyczyna tkwi w tym, jaki on jest. W jego talencie, w jego poczuciu humoru, w jego dobroci, w jego niezłomnej lojalności i epikurejskim sposobie postrzegania życia jako miejsca, do którego przyszliśmy tylko na chwilę i dlatego musimy przynajmniej postarać się, żeby ta chwila była dla nas jak najzabawniejsza.

Antonio jest geniuszem. Prawdopodobnie nigdy nie spotkałem nikogo z tak dużym talentem jak on. Jego szwagier, aktor Fernando Sancho związał go we wczesnej młodości z przemysłem filmowym i od tamtej pory Antonio nie przestał w nim pracować. Jest świadom jednak, że ktokolwiek kto się z nim napije – a jest to doświadczenie, które naznacza na zawsze – dojdzie do wniosku, że w całym życiu nie kiwnął nawet palcem. Wydaje się, że ma wszystko w nosie, zwłaszcza od kiedy wycofał się z kina. Stamtąd, gdzie rozbrzmiewały jego wybuchy śmiechu, jakby śmiejąc się ze świata i tego, z czego się składa. Jest wysoki, brzydki i ma zezujące oko, ale kobiety go lubią a faceci walczą o jego towarzystwo. W młodości miał sławne i wspaniałe dziewczyny, a potem smutną miłość – jedyną smutną rzecz w jego życiu – do przepięknej kobiety, która naznaczyła go na zawsze i której śmierć sprawiła, że nigdy się nie ożenił. Kocha kino i futbol, w takiej kolejności. Ale ponad obie te rzeczy kocha swoich przyjaciół.

Zaczął reklamując cudze filmy i to jemu zawdzięczają sukces między innymi: Szczęki, Grease, Jesus Christ Superstar i Gwiezdne Wojny, żeby wymienić tylko cztery. Spełniony w produkcji, zajął się dwudziestoma filmami. Nazwiska ich reżyserów a także aktorów były żywą listą płac ówczesnego hiszpańskiego kina: Uribe, Díaz-Yanes, Olea, Urbizu, Landa, Sancho Gracia, Coronado, Carmelo Gómez, Aitana i prawie wszyscy inni. W swoim zawodowym życiu Antonio, poza nagrodami Goya dla swoich filmów – zdobyłem razem z nim jedną za Fehmistrza – osiągnął to, co dla hiszpańskiego kina wydawało się być niemożliwe. Zawsze był prawdziwym producentem, z tych którzy ryzykowali swoimi pieniędzmi, a nie żyli kosztem innych, tak jak robi to większość branży filmowej w Hiszpanii. Jako producent zaangażował Romana Polańskiego, żeby wraz z Johnnym Deppem zekranizował mój Klub Dumas jako Dziewiąte Wrota i przekonał Viggo Mortensena, żeby zagrał głównego bohatera Kapitana Alatryste - dwa nadzwyczajne filmy, jakich nie zrealizował wcześniej żaden inny producent hiszpański.

Z nimi osiągnął spektakularny sukces kasowy. Z drugim udało mu się dopieć Paolo Vasile, szefowi Telecinco (wewnętrzne sprawy środowiska producentów). I kiedy podczas kolacji spytałem się Paola, dlaczego się nie zemścił, jako że jest twardym gościem, Włoch odpowiedział: „Bo Antonio to dobra osoba”. Te słowa powiedziane przez takiego rekina, mówią wiele i dobrze o nich obu. Z Antonio przeżyłem wspaniałe momenty, zabawne godziny, kręcone

filmy, spektakularne chwile na planach, dziesięć lat jeżdżenia na festiwal w San Sebastián, momenty kiedy jego stolik w barze Marii Cristiny był permanentnym skupiskiem ludzi kina i talentu, gdzie pojawiali się najważniejsi producenci, reżyserzy, aktorzy i aktorki. Ponieważ Antonio Cardenal jest także za sprawą swojego życiorysu sporą częścią historii hiszpańskiej kinematografii ostatnich trzydziestu lat. Nigdy nie chciał błyszczeć, być fotografowanym, deprecjonować swoich aktorów ani filmów. Zawsze zostawał obok, dyskretnie i niewidzialnie, opierając się o kontuar w najbliższym barze, z whisky w ręce i miłym, dobrotliwym uśmiechem, ciesząc się z publicznego sukcesu innych. Opowiadając ci ostatni dowcip.

Być może przez to wszystko ludzie kina nie wspominali o nim zbyt często; nawet teraz ci, którzy nazywają się jego przyjaciółmi, zapominają o nim, kiedy mówią o filmach, w których dzięki niemu zagrali albo je wyreżyserowali. Dlatego piszę teraz te kilka słów, żeby wszystkim o nim przypomnieć. Żeby powiedzieć, że Antonio Cardenal, mimo że wycofał się z zawodu, ciągle żyje i jest jednym z ostatnich z rodu wielkich producentów filmowych, którym hiszpańskie kino tak wiele zawdzięcza. I Akademia Nagród Goya, zawsze zapominalska w kwestii jego uznania, powinna mieć to na uwadze.

Opublikowano 17 czerwca 2018 roku w XL Semanal na zendalibros.com

RECENZJA

Norweski serial..., „SKAM”

Agata Maćkowska

Ostatnio skandynawska literatura podbija serca miłośników książek, ale co z innymi aspektami kultury? Jeśli chodzi o muzykę, to od razu przychodzi na myśl szwedzka ABBA, która w '74 wygrała Eurowizję albo bardziej aktualna – również szwedzka - Zara Larsson czy norweski Kygo. Wiele mówi się o tym, że tamtejsze filmy nie należą do lekkich, są mroczne, często wbrew pozorom i nie każdemu przypadają do gustu. Coś w tym jest, ale jak to mówią: „wyjątek potwierdza regułę”. Tym wyjątkiem jest serial „SKAM” reżyserii Julie Andem.

Zacznijmy od technicznej strony. Gatunek: dramat obyczajowy. Lata produkcji: 2015 – 2017. Pochodzenie: Norwegia. Bohaterowie: głównie uczniowie liceum w Oslo i ich najbliżsi. Ilość sezonów: 4. Ilość odcinków w jednym sezonie: 10 – 12. Długość jednego odcinka: około 30 minut. Jak widać, nie jest to bardzo długi serial, obejrzenie całego bez przerwy zajęłoby nam 20 godzin.

Każdy sezon opowiada o losach innego bohatera, jednak wszyscy się znają i chodzą do tej samej szkoły. Poza tym bardzo różnią się charakterami, sytuacją, w której się znajdują i tak dalej. I tak pierwszy sezon opowiada o Evie, która kłóci się z chłopakiem – brzmi banalnie, ale tak nie jest. Wiele osób narzeka, że ten sezon jest najgorszy a sama Julie przyznała, że powstał on jako wprowadzenie do drugiego. Nie znaczy to, że nie warto go zobaczyć. Drugi jest historią Noory, która próbuje przekonać przyjaciółkę, że chłopak, który jej się podoba jest fałszywy. Oprócz tego znajdziemy tu wątek kłamstwa, przyjaźni i wiele innych. Trzeci sezon przedstawia życie Isaka (to jedyny sezon, w którym głównym bohaterem jest chłopak), który odkrywa, że jego nowy znajomy staje się kimś więcej... Do tego dochodzi m.in. choroba psychiczna jednej z postaci czy zazdrość. Według internetowego głosowania, aż połowa oglądających wybrała ten właśnie sezon jako najlepszy. Czwarty niestety jest często niedoceniany, a szkoda, bo jest idealnym zakończeniem serii: przedstawia losy Sany, muzułmanki, która pomimo pozorowanej tolerancji stara się połączyć życie codzienne z religią.

„SKAM” miał być serialem niskobudżetowym, początkowo ekipa składała się z trzech osób: inżyniera dźwięku, fotografa i reżyserki (i oczywiście aktorów). Nie wynajęto studia, sceny kręcono w szkole Hartvig Nissen w Oslo, w której podczas kręcenia uczył się Tarjei Sandvik Moe (serialowy Isak) a instruktorka kółka teatralnego odgrywała rolę Chris. Tylko nieliczne sceny kręcono w studiu, na przykład te w apartamencie Noory. Może się wydawać, że jest to niczym niewyróżniający się serial dla nastolatków, nudny, z banalnymi problemami, bez superbohaterów, bez akcji, ale moim zdaniem tak nie jest.

Wszystko to, co wymieniłam, włączając niskobudżetową ekipę, składa się na bardzo realistyczny obraz norweskich nastolatków. Reżyserka nie stara się na siłę uatrakcyjnić fabuły

serialu, przedstawia nam codziennie zmagania bohaterów, co świetnie jej wychodzi. Role bohaterów są zagrane naprawdę dobrze!

Serial odniósł wielki sukces. Nagrano sześć wersji: francuską (premiera 5 lutego 2018), niemiecką, znaną jako „Druck” (premiera 23 marca 2018), włoską (premiera 29 marca 2018), amerykańską – „SKAM Austin” (premiera 28 kwietnia 2018), holenderską, czyli „SKAM NL” (premiera 16 września 2018) oraz hiszpańską o nazwie „SKAM Spain” (premiera 21 września 2018). Wszystkie z wymienionych mają podobną fabułę, zmieniają się tylko aktorzy, imiona postaci i miejsca, w których toczy się akcja.

Serial oceniam wysoko i zachęcam do obejrzenia.

José Ortega y Gasset „Bunt mas”

Błażej Król

Na ten moment liczba ludności w Europie przekracza 750 milionów. Jest to spowodowane ogromnym postępem dokonany w nauce, technice, medycynie i innych dziedzinach w ciągu ostatnich 50 lat. Obecnie dostęp do opieki medycznej, ubezpieczeń społecznych, mediów – telewizji, radia i Internetu, ale także do sprzętów codziennego użytku – lodówki, kuchenki i środków transportu takich jak samochód i autobus ma znakomita większość Europejczyków. Poprawa życia pospolitych ludzi, jaka dokonała się od XVIII wieku jest wprost niewiarygodna.

W przeszłości, kiedy to możliwość korzystania z „towarów luksusowych” (perfumy, bieżąca woda i wiele innych artykułów) była zarezerwowana tylko dla wybranych – polityków, szlachty lub ludzi znajdujących się na szczycie drabiny społecznej.

Dla wszystkich tych, którzy znajdowali się poniżej, marzeniem było osiągnięcie tego komfortu.

W obecnych czasach nie istnieją już drabiny społeczne, każdy człowiek ma takie same prawa, społeczeństwa są majętniejsze, ludzie skupiają się w różnych ośrodkach (miastach), ogólnie rzecz biorąc poziom życia ludności w Europie znacząco się podniósł. Spowodowało to zatarcie się granic między klasami, co poskutkowało ujednoczeniem społeczeństwa, a także możliwością decydowania i wydawania rozporządzeń przez jednostki, które wcześniej nie były do tego uprawnione. Dostyc często dochodzi przez to do sytuacji, kiedy to osoby niewykształcone zajmują ważne stanowiska, które powinni piastować eksperci w danej materii. W czasach, w których przyszło nam żyć, ludzie wybitni giną w tłumie. Zalewani są przez szarą masę zwaną społeczeństwem i toną w bezdennej otchłani ludzkiej prostoty i ordynarności. Jednak czy jest tak naprawdę? Czy w czasach, w których żyjemy nie da się rozróżnić indywidualnych jednostek, tak zwanej mniejszości od mas, zlepku przeciętnych, szarych ludzi? Po czym poznać kogoś wybitnego, wyróżniającego się z tłumu, tworzącego ówczesną elitę? Będącego de facto nową arystokracją, która posiada coś cenniejszego niż pieniądze i inne dobra tego świata? Odpowiedzi na te wszystkie pytania znajdują się w książce pod tytułem „Bunt mas” autorstwa José Ortegi y Gasset.

José Ortega y Gasset żył w latach 1883 do 1955. Studiował prawo i filozofię, mając 21 lat otrzymał tytuł doktora. Następnie udał się na dalsze studia do Lipska, Berlina i Marburga. Tam zrodziło się jego właściwe postrzeganie świata. W licznych wywiadach często wspominał o tych miejscach, jako o miejscach przełomu w jego życiu. Dodawał także, że nie udało mu się osiągnąć tego poziomu wiedzy gdyby nie jego mistrzowie – Herman Cohen, Paul Natorp i Georg Simmel. Po ukończeniu studiów wrócił do kraju, gdzie objął stanowisko w katedrze metafizyki Uniwersytetu w Madrycie, publikował swoje przemyślenia w gazecie *El Imparcial*. Napisał wiele prac, m.in. "Dehumanizacja sztuki i inne eseje", "Ewolucja teorii dedukcyjnej. Pojęcie zasady u Leibniza". Niemało rozpraw ukazało się dopiero po jego śmierci.

W dążeniu do całościowego spojrzenia na świat ludzi znajdowało się źródło filozofii Ortegi y Gasset, zwanej racjowitalizmem, był uznawany za przedstawiciela filozofii życia.

José Ortega y Gasset w recenzowanym dziele przedstawia zmiany zachodzące w społeczeństwie Starego Kontynentu, które spowodowane zostały globalizacją i urbanizacją a także zrównaniem praw wszystkich ludzi. Pisze, iż nastał czas Buntu mas. W pierwszych rozdziałach swojej książki opisuje zjawisko aglomeracji i genezę powstania mas. W kolejnych opisuje cząstkę masy – człowieka masowego (tworzy profil jego osoby), wskazuje na to, co różni go od jednostek należących do mniejszości i przedstawia sposób działania masy na otaczający ją świat. W następnych częściach książki przedstawia skutki rozwoju techniki i podniesienia się

poziomu życia, opisuje jego wpływ na dawną szlachtę, a także prymitywizm i niewiedzę mas. W ostatnim rozdziale będącym podsumowaniem podejmowanego problemu Ortega przedstawia swoją konkluzję odnośnie tego, kto tak naprawdę rządzi tym światem. Jednakże ja skoncentruję się na, moim zdaniem, najciekawszej części dzieła – próbie opisu genezy człowieka masowego. We wstępie do tematu Gasset podaje przykłady wiarygodnych źródeł według, których początek „ery mas,” jest już bliski. Wymienia on między innymi Nietzschego – „Widzę nadciągającą falę nihilizmu”, Augusta Comte – „Jeśli nie znajdzie się nowa siła duchowa, to nasza epoka, która jest epoką rewolucyjną, skończy się katastrofą” i Hegla – „Masy nacierają”. Wszyscy wymienieni powyżej myśliciele mieli, zdaniem Ortegi, podkreślić znaczenie i wagę zbliżających się wydarzeń, a przy okazji potwierdzić, iż autor w swoim toku rozumowania nie jest sam. Człowiek wieku XIX jest to człowiek, któremu żyje się łatwiej. Odkrywa, że wiele nieznanych wcześniej możliwości, nieprzetartych szlaków i wiele przyjemności, których może doświadczać. Z każdym dniem ów człowiek, widzi coraz więcej opcji, jego życie staje się bogatsze i pełniejsze. Czuje się coraz pewniej, nie martwi się o swoją pozycję ekonomiczną i społeczną, rodzi się w nim poczucie niezależności i samokontroli swojego życia. Wcześniejsze „cudowne zrządzenie losu”, teraz zmienia się w należność, prawo do otrzymywania i posiadania czegoś, zaspokajania swoich potrzeb, żądź, czegoś co się wymaga. Jednostce wydaje się coraz bardziej, że życie jest spokojne i stabilne, pozbawione nagłych przewrotów i zmian. Takie odczucie dyktuje komfort i porządek publiczny – rzeczy, których wcześniej nie było, a nagle się pojawiły i mimo przelotności swego istnienia wydają się gwarantować wieczny dobrobyt i szczęście. W roku 1789 powstaje Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, która skutkuje zanikiem barier społecznych, wynikiem czego jest powstanie przeświadczenia „w głowie” prostego człowieka o nieskończoności jego możliwości. Człowiek od małego uczony jest o równości wszystkich ludzi wobec prawa. Do ujęcia tego zjawiska José Ortega posługuje się starym hiszpańskim przysłowiem – „wielka i szeroka jest Kastylia”. W dosłownym tłumaczeniu sentencja ta oznacza, że nie istnieją jakiegokolwiek granice, które mogłyby ograniczać pole działania.

Wiek XIX jest nazywany epoką wielkich zmian. Nie tylko technicznych, ale także psychologicznych. To w tym okresie diametralnie zmienia się sam człowiek, jego sposób postrzegania świata oraz jego możliwości. Autor w opracowaniu wymienia podstawowe cechy, które nabył człowiek „rewolucyjny” – swobodna ekspansja życiowych żądań i potrzeb, jedynie dla własnego zysku oraz wrodzony brak poczucia wdzięczności dla osób, które umożliwiły mu to życie. Wniosek, jaki się nasuwa na podstawie wymienionych wyżej cech jest bardzo prosty – obecne społeczeństwo będące dziedzicami dorobku ludzkości jest po prostu przez niego rozpuszczone. W obecnych czasach ludzie dosyć często zapominają, że świat to nie tylko oni, ale to też inne jednostki. Zazwyczaj postawione w hierarchii wyżej od nich. Kiedy dochodzi do spotkania tych dwóch osobowości, jednostka będąca podległa nie potrafi dostosować się do nakazów i zaleceń zwierzchnika. José Ortega opisuje ten kontakt formułką – „Ja i ktoś względem mnie nadrzędny”, a następnie tworzy kontrast pokazujący nastawienie społeczeństwa przed czasem rewolucji stosując sformułowanie „Tu kończę się ja, a zaczyna ktoś drugi, komu wolno więcej niż mnie”. Jako podsumowanie tego działu pisarz używa metafory przyrównując obecnie istniejącą organizację bytów do powietrza. Powietrze jest, było i będzie. Masy nie są nikomu za nie wdzięczne, ponieważ twierdzą, że jest ono czymś naturalnym, bo nie da się odczuć jego braku. Ludzie tworzący masę, mają właśnie taki sam stosunek do dobrodziejstw otaczającego ich świata. Nie postrzegają ich, jako czegoś, co wymaga wielkiego ludzkiego wysiłku, ale jako element przyrody. Nie odczuwają wewnętrznej potrzeby do pielęgnacji i rozwijania tych genialnych konstrukcji, które znacząco ułatwiły im życie.

W kolejnym rozdziale znajdują się istotne wyjaśnienia dotyczące wizerunku człowieka masowego, Ortega y Gasset przedstawia tu różnice życia szlacheckiego i pospolitego. W czasach przed wielkimi zmianami życie pospolitego człowieka było pełne niebezpieczeństw, trudności i wyrzeczeń. W czasach po rewolucyjnych „nowy” człowiek nie musi się niczego obawiać – życie jest łatwe i klarowne, nie ma żadnych barier, nie ma ludzi nadrzędnych, wszyscy są równi. Takie myślenie znacząco zmienia byt człowieka masowego, który wcześniej był ograniczony i mały względem jednostek nadrzędnych. Każdy, nawet najmniejszy postęp, który udało się osiągnąć dawnemu człowiekowi przypisywał szczęśliwemu przypadkowi lub ciężkiej pracy. Obecnie człowiek masowy nie uznaje czegoś takiego, jak szczęśliwy traf, ciężka praca, liczne wyrzeczenia, ta osoba jest pewna, że jej się wiele należy, iż wynika to z przysługujących jej praw. Taki sposób myślenia, powoduje powstanie przekonania o byciu „Panem własnego życia”, a co się z tym wiąże, całkowitej ignorancji osób z zewnątrz, nawet tych ważniejszych, a także budowania silnego poczucia własnej niezależności.

Człowiek wybitny natomiast odczuwa swoją słabość i kruchość, dlatego celowo poszukuje norm zewnętrznych, doskonalszych od jego własnych. Człowiek wybitny ma duże wymagania względem siebie, w przeciwieństwie do człowieka masowego, który nie oczekuje niczego od siebie, natomiast ma wielkie żądania względem reszty świata. Bardzo istotną cechą człowieka wybitnego jest potrzeba poddaństwa, warto dodać, że nie odbiera on tego, jako ucisku, ale jako poświęcenie siebie samego w celu służenia czemuś wielkiemu, przełomowemu. Jednak kiedy to coś, przestaje istnieć człowiek zdolny zamiast rozpaczać narzuca sobie jeszcze bardziej restrykcyjne i bardziej wymagające wyzwania, ponieważ uznaje on, że życie szlacheckie jest tak samo szlacheckie, jak narzucona sobie dyscyplina. Podobnie jest z posiadanymi prawami. Przywileje prywatne są wyznacznikiem starań danej osoby w celu ich uzyskania, natomiast prawa powszechne, czyli prawa nabyte, przysługujące każdemu człowiekowi są prawami, które otrzymaliśmy, do których uzyskania nie musieliśmy dokładać wysiłku. Można wręcz powiedzieć, że uzyskanie ich było tak łatwe jak oddychanie.

W dalszej części rozdziału twórca książki definiuje znaczenie słowa szlachecki. Według José Ortegi osoba szlachecka to nie ktoś mający duży majątek i liczne prawa, lecz to ktoś kto wybił się z wszechogarniającej anonimowej masy. W swojej definicji osoby szlacheckiej autor wyznaje pogląd, iż osoba szlachecka to osoba zdolna do poświęceń, gotowa na liczne wyrzeczenia w dążeniu do czegoś/kogoś/ doskonalszego od niej samej. Dlatego też osoby – mężczyźni i kobiety zdolni do spontanicznego porzucenia luksusu i komfortu na rzecz wysiłku fizycznego lub psychicznego pozostawiają niezatarty ślad po sobie w naszej pamięci, który z czasem wzrasta do ogromnych rozmiarów. Ludzie szlacheccy to ci, którzy są aktywni, a nie tylko reaktywni, dla których życie to ciągłe „pozytywne napięcie”.

Z kolei jeśli spojrzymy na człowieka masowego jest on całkowitym przeciwieństwem człowieka szlacheckiego. Mimo, że posiada pewien zasób wiedzy, nie pragnie go rozwijać. Idee, które posiada, wystarczają mu, aby uznawać siebie, jako intelektualnie dojrzałego i pełnego. Ignoruje on wszystkie sygnały wychodzące z zewnątrz, przez co zamyka się w swoim małym świecie. Człowiek masowy czuje się uosobieniem doskonałości. W przeciwieństwie do człowieka wybitnego, który pomimo bycia zdolnym nie czuje się nigdy doskonały i nie jest próżny. Hermetyczność człowieka tworzącego masę wyklucza istnienie wszystkich niedoskonałości. Nie jest nawet w stanie zdobyć się na najprostszą czynność jaką jest porównanie siebie względem innych. Problemem ówczesnego człowieka nie jest to, że jest głupi. Jego umysł wzniósł się na wyżyny intelektualne od czasów przedrewolucyjnych. Problemem są udogodnienia, które

zamiast ułatwić życie, jeszcze je bardziej komplikują i ograniczają. Jednakże clou problemu tkwi nie w otaczającym człowieka świecie, ale w nim samym. Człowiek pospolity wierzy, że jest jednostką ponadprzeciętną i pragnie narzucić swoją „ponadprzeciętność” innym, co zazwyczaj nie przynosi pozytywnych skutków.

Podsumowując: czytając książkę José Ortegi y Gassetta miałem okazję dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy, poznać zasady funkcjonowania społeczeństwa, a także doksztalić się w pisaniu artykułów i dłuższych esejów. Jednak największą wartość, którą przyniosło mi przeczytanie tego dzieła, to podziw dla umiejętności autora książki, który dokonuje rzeczowego spojrzenia na różnych ludzi tworzących społeczeństwo. Co jeszcze, Ortega potrafi odróżnić człowieka masowego od wybitnego, wskazuje na ich odmienne cechy, lecz ludzi tych nie potępia ani nie gloryfikuje. To wielka umiejętność. Chciałbym, pamiętając o szacunku dla wszystkich ludzi w tym dla zwierzchników oraz technologii, którą jestem otoczony, rozwinąć umiejętność mądrego rozróżniania jednostek wybitnych od „szarej, bezkształtnej masy”.

WIESZCZE

KACPER ŁUKOWICZ IV 2018

